

KONRAD T.
LEWANDOWSKI

SAGA
O KOTOŁAKU
KSIN DRAPIEŻCA

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
Text © copyright by Konrad T. Lewandowski, 2015

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

CZĘŚĆ PIERWSZA

2

DZIENNE WIDMO

Pobladły błazen wynurzył się z głębi izby tortur, chwycił kurczowo kamienną framugę, poruszył ustami jak ryba, po czym wywróciwszy oczy białkami do góry, padł zemdłony na progu.

– Cóż, ekscelencjo... – Redren zwrócił się do siedzącego po swej lewicy ambasadora Cesarstwa Archipelagu Południowego. – Wrodzonego dowcipu to mój trefniś może i nie ma, ale jego talent mimiczny jest, jak widać, bez zarzutu.

Szlachetny Rgbar nie zdążył udzielić dyplomatycznej odpowiedzi, gdyż w tym momencie w izbie tortur eksplodował potworny ryk bólu i ambasador musiał skoncentrować się na zachowaniu kamiennej twarzy. Nie było to proste. Ów smagły, wykwintny Południowiec złożył listy uwierzytelniające zaledwie trzy tygodnie temu i dopiero pierwszy raz uczestniczył w rozrywkach Redrena Szalonego.

– Maestro! – wrzasnął władca Suminoru, przekrzykując dudniące w lochach echo krzyku skazańca.

Długowłosey muzyk potrząsnął głową i uderzył w klawiaturę klawesynu. Szalony akord finezyjnie splótł się z ko-

lejnym skowytom torturowanego człowieka, wywołując szmer podziwu dworzan zgromadzonych za fotelami króla i ambasadora. Chwilę później następny wrzask utonął wewnątrz kunsztownej gamy, niczym robak w zlocistej żywicy. Kat metodycznie kontynuował swe dzieło, a artysta przy klawesynie pewnie dotrzymywał mu kroku. Z wręcz nadnaturalną intuicją muzyk bezbłędnie odgadywał kolejne czynności znajdującego się za ścianą mistrza Jakuba. Każdy szloch, jęk, a nawet wycie traconego czarownika były puentowane harmonijnym akordem lub uzupełniane grupą dźwięków tak, że w lochach rozbrzmiewała muzyka równie straszna, co doskonała.

Słuchacze trwali zawieszeni w pół drogi między grozą a zachwytem. Tu długie, białe palce muzyka śmigły po klawiaturze klawesynu, wprowadzając struny w gorączkowy tan na granicy zerwania, tam zębate obcęgi i piły rwały mięśnie, powoli druzgotały kości, otwierały stawy – wszystko zgodnie z odwieczną, zapisaną w Księdze Prawa, procedurą zadawania śmierci na mękach, której przyświecała maksyma: „Nie ma dosyć bólu”.

Ksin obserwował przez chwilę błazna, który ocknął się zaraz po rozpoczęciu koncertu, odpełził na czworakach w odległy kąt i tam zwymiotował. Nie zauważył tego nikt poza kotołakiem. Wszyscy inni, zasluchani, ze ściśniętymi gardłami, śledzili konwulsyjne podrygi mistrza klawesynu. Melodia zataczała właśnie kolejne demoniczne rondo. Genialnie dobrane dźwięki stwarzały złudzenie, że torturowany śpiewa...

Ksin przymknął oczy. Redren, trzeba mu to przyznać, rzadko skazywał kogoś na tak okropną śmierć, ale jeże-

li już, to korzystając z okazji, robił z tego nie byle jakie przedstawienie. Tak było i tym razem. Pojmany w Kattimie płatny czarnoksiężnik morderca okazał się prawdziwym darem losu, gdyż w ostatnich dniach zaszła konieczność niewielkiego „rozmiękczenia” nowego ambasadora Cesarstwa Archipelagu Południowego. Sądząc po minie dostojnego Rgbara, koncert robił na nim właściwe wrażenie i w jutrzejszych rozmowach dotyczących statusu portu i miasta Kemr oraz związanych z nim szlaków morskich powinien zostać odnotowany znaczący postęp. Polityka nie była zatem źródłem niepokoju Ksina – kotołaka w służbie króla Redrena III. Było to coś innego...

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by zawiódł go zmysł Obecności. Tymczasem już od dwóch dni Ksin miał wrażenie, iż odczuwa bliskość innej istoty demonicznej, lecz nie potrafił określić kierunku ani odległości. Coś wokół niego krążyło, ale równie dobrze mogło znajdować się krok za nim, jak i hen za miejskimi murami. Doprowadzało go to do szału. Nadworny mag Rodmin, poproszony o pomoc, zamknął się w swej pracowni i nie pokazywał od kilkunastu godzin.

Każń zbliżała się właśnie do momentu, w którym wyzwolona przez mistrza Jakuba fala bólu miała ostatecznie unicestwić umysł skazańca, a żelazny tłok maszyny tortur „rozgnieść jego czarne serce”, jak opiewała sentencja wyroku.

Muzyk przy klawesynie również przygotował się do finału. By stworzyć pozór uspokojenia przed ostatecznym wybuchem szału, chwilowo zignorował jęki torturowanego i dobył z instrumentu monotonna wibrację, jakby po-

dawał rytm czterem osiłkom, pomocnikom mistrza Jakuba, napędzającym główne koło zamachowe maszyny męki, której miarowy łoskot był stale obecny w tle.

Słuchacze czekali.

Brzęk struny i łomot maszynerii poczęły narastać. W ślad za nimi pod sklepienie wzbil się ostatni opętańczy wrzask skazańca. Dźwięki eksplodowały kaskadą ech.

– Czas nadszedł! – syknął klawesynista.

Długie włosy uniosły się i zatańczyły na jego głowie jak płomienie.

Z instrumentu buchnęło błękitne światło.

Dla Ksina melodia i uporczywe wrażenie Obecności nagle stały się jednym. Spostrzegł, że klawisze zapadają się w głąb klawesynu, nim jeszcze dotknęły ich palce artysty.

– To czarownik! – krzyknął do towarzyszących mu gwardzistów. – Brać go!

Na to było już za późno. Żołnierze zdążyli tylko osłonić króla i ambasadora. Muzyk zniknął, jakby go nigdy nie było, a rozerwany magicznym wybuchem klawesyn rozrucił po całej sali kawałki rozżarzonych do czerwoności strun. Dworzan, zwłaszcza kobiety, ogarnęła panika. Wrzeszcząc i piszcząc, dwórki stoczyły się na prowadzących na górę schodach. Wir błękitnego światła zmienił barwę na fioletową i przeniknął kamienną ścianę, wpadając do izby tortur.

– Strzeż Jakuba! – krzyknął Redren do Ksina.

Kotołak bez namysłu wbiegł do katowni. Jakaś część maszyny tortur, chyba imadło goleniowe, oderwana od reszty, omal nie rozwalila mu głowy, przelatując o palec

od skroni. W następnej chwili magiczna siła rzuciła Ksinem o ścianę.

„Ktoś za to zapłaci głową!” – pomyślał i desperacko szarpnął się w bok, bo właśnie prosto na niego leciał żelazny kosz pełen rozżarzonych węgla. Feeria czerwonych bryłek osypała się po ścianie, cudem omijając kotołaka. Zapłonęły jakieś szmaty i słoma na podłodze.

Nad katowskim stołem i częściowo zdemolowaną maszyną wirował słup ludzkich strzępów, skąpanych w fioletowej poświacie. Wyzwolona w lochu magiczna moc uwolniła skazańca, po prostu wrywając jego ciało z obejm, szczęk i kajdan. Po tym wszystkim trudno było domyślić się, że to, co unosiło się nad stołem, było kiedyś człowiekiem. Ale kształt nie miał znaczenia, właśnie dopełniała się demoniczna Przemiana. Moc Onego przesyciała organiczne resztki, tworząc upiora zwanego szczątnikiem.

Ksin, wypatrując mistrza Jakuba, zrobił nieopatrznie jeden krok do przodu i znalazł się w zasięgu magicznego wiru. Niekontrolowana Przemiana spadła nań pod postacią potwornego bólu. Ręce zamieniły się w szpony. W nagłym paroksyzmie cierpienia uderzył nimi we własne piersi, rozrywając stalowy napierśnik jak papier. Potem coś sprawiło, że wskoczył na stół. Wiedział, że powinien spróbować zabić szczątnika, ale zamiast tego zaczął z nim tańczyć...

Chwilę później wszystko ustało i zgasło. Kotołak stracił równowagę i zleciał ze stołu, padając na posadzkę obok mistrza Jakuba.

Królewski kat zamrugał oczami. Od momentu, gdy Ksin znalazł się w izbie tortur, minęło nie więcej niż tuzin uderzeń serca.

Kotołak szybko usiadł.

– Nic ci nie jest, mistrzu? – zapytał.

– Nie... – Jakub z roztargnieniem potrząsnął głową.

Podeszli pomocnicy i pomogli im wstać. Nie dało się dostrzec, czy magiczny kataklizm wywarł na tych czterech wiecznie niedomytych osiłkach jakiegokolwiek wrażenie. Cóż, na katowskich pachółków zawsze wybierano osobników o nieco ograniczonej wrażliwości...

– Trzy śruby urwał – oznajmił najstarszy z nich, mając najwyraźniej na myśli straconego czarownika. – Pies po nim jeździł! Ale my będziemy to naprawiać...

– Bierzcie się do roboty! – uciął narzekania mistrz Jakub.

– Do rana nam zejdzie – zaczął biadolić drugi.

– Dość! – Kat oparł się o ścianę i zapatrzył gdzieś przed siebie. Ksin przyglądał mu się uważnie.

– Powinienem był zatkać mu gębę – mruknął Jakub ni to do siebie, ni to do kotołaka. – Niepotrzebnie ustąpiłem królowi. Bodaj to... – Nie dokończył przekleństwa.

– Na Reha! – W progu stanął Redren. – Gdzieżeś mi tego muzyka wynalazł? – rozgniewany zwrócił się do Ksina. – To tak sprawdzasz ludzi, których sprowadzasz mi na dwór?! Ty się, kocie nasienie, ciesz, że Jakub, jak widzę, cały i zdrowy! Nie darowałbym, gdybyś mi najlepszego kata zmarnował. No, gadaj!

– Panie mój, ten klawesynista miał list polecający od samego ambasadora Rgbara – zaczął tłumaczyć się Ksin.

– Co? To dopiero mi o tym mówisz?!

– Panie, miałem zamiar dokładniej sprawdzić tego człowieka...

– Jakiego człowieka?! – warknął Redren. – Teraz to nawet ja wiem, że to był żaden człowiek, tylko dzienne widmo. Ty powinieneś być wyczuć je wcześniej! Zamiast tego dałeś się omamić jak głupi!

– Czulem coś, tylko nie wiedziałem gdzie... – Ksin poczuł szczyry wstyd.

– Trzeba było przynajmniej powiedzieć mi o tym liście. Rgbar wspominał przed koncertem, że nie zna tego muzyka.

– Wybacz, mój panie. – Ksin spuścił głowę.

Redren popatrzył nań krytycznym wzrokiem.

– Nie dość, że spartolił robotę, to jeszcze chodzi w rozchełstany pancerzu... – zażartował bez śladu wesołości. – Jako dowódca straży pałacowej zawiodłeś mnie po raz pierwszy i ostatni. Pamiętaj o tym! Możesz sobie być kotolakiem, ale masz mieć więcej szczęścia niż rozumu, albo w najgorszym razie odwrotnie! – Król odwrócił się na pięcie i wyszedł z izby tortur.

– ■ –

Mag Rodmin pokręcił głową ze współczuciem i wznowił spacer pałacowym kruzgankiem.

– Więc nie czytałeś *Bestiariusza* mnicha Anafazego?

– Nie – przyznał ponuro Ksin, ruszając za magiem.

– Jest tam wzmianka mówiąca, że rozproszone wrażenie Obecności to jedna z cech dziennego widma.

– Nie mogłeś mi tego powiedzieć od razu?! – wybuchnął kotołak.

– Chciałem się upewnić i należycie przygotować. Myślałem, że sobie poradzisz. Nie sądziłem, że widmo ujawni się tak szybko, wybacz.

– Ale ten list... – zaczął Ksin.

– Lepiej nie pokazuj go ambasadorowi, bo uzna to za jakąś perfidną grę. List jest bez wątpienia autentyczny, ale czcigodny Rgbar nie ma z nim nic wspólnego.

– Nie rozumiem.

– Dzielne widmo to materializacja pragnień tworzącego je maga. Najważniejszą umiejętnością tej istoty jest zdolność realizacji marzeń. Chciałeś mieć list polecający, więc Ono stworzyło go dla ciebie...

– A niech to!

– Dzielne widma są niezwykle trudne do wywołania, a na dodatek bardzo kapryśne. Wykazują silną skłonność do dominowania nad swoim stwórcą – mówił dalej Rodmin. – To sprawia, że tworzone są bardzo rzadko, bo nawet najpotężniejsi magowie boją się samych siebie...

– Ale ten się odważył – mruknął Ksin.

– To był pośledni czarownik, któremu zabrakło wyobraźni. Dlatego właśnie skończył tak marnie.

– Jednak widmo spełniło jakieś jego życzenie... – stwierdził kotołak. – Jakie?

– Umożliwiło mu rzucenie niezwykle silnej klątwy, tak potężnej, że w mojej pracowni spłonęło kilka pospolitych amuletów ochronnych.

– Zniszczone zostały też wszystkie magiczne zabezpieczenia izby tortur – dodał Ksin. – Więc to była klątwa...? – upewnił się z niedowierzaniem.

– Spaliły się nawet Kamienie z Północnych Moczarów? – zdumiał się mag. – Nieźle, nieźle... Choć w sumie można się było tego spodziewać – dodał ciszej.

Niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

– Zostały po nich tylko dziury w ścianach i czarny pył... – rzekł kotołak, starając się odwlec chwilę okrutnej prawdy.

– Powiedz, kto? – przerwał mu Rodmin. – Kto padł ofiarą klątwy?

– Mistrz Jakub. – Ksin odwrócił głowę. – Tylko on w momencie ujawnienia się widma był w zasięgu wzroku i głosu skazańca.

– Szczęście w nieszczęściu, że to nie król ani ambasador. Że byli za ścianą...

– Dla mnie niewielka różnica – stwierdził kotołak. – Redren jeszcze nie wie wszystkiego, ale chwila, w której się dowie, będzie też ostatnią chwilą mojej służby na tym dworze.

– Czyli król na razie sądzi, że to były tylko małe, niezaplanowane magiczne fajerwerki? – spytał Rodmin. – Bez groźniejszych następstw?

– Chyba tak...

– Więc postaraj się nie wyprowadzać go z błędu. Mistrz Jakub to ktoś więcej niż byle oprawca. Mówią o nim, że nawet świeżego trupa potrafi zmusić do odczuwania bólu. Jest fanatykiem Prawa, pochodzi ze szlacheckiego rodu, pisze wiersze i prawdopodobnie, w imię sprawiedliwości,

używa Czystej Starej Magii. Bez niego pałacowi spiskowcy mieliby trzy razy mniej skrupułów.

– Wiem o tym – westchnął ciężko Ksin. – Na dodatek Redren zwyczajnie go lubi.

– Bo już kilka razy zdarzyło się, iż Jakub odmówił wykonania wyroku wydanego przez przekupionego sędziego. Ten kat jest na dworze chyba jedynym człowiekiem, który poważnie traktuje prawa tego kraju, i król o tym wie.

– A ja przez kilka głupich niedopatrzeń doprowadziłem do tego, że za kilka dni lub godzin mistrza Jakuba rozszarpie jakiś demon... – dopowiedział kwaśno Ksin.

– Jeśli do tego dojdzie, rzeczywiście będzie to koniec twojej błyskotliwej kariery na królewskim dworze. Po zaledwie trzech miesiącach od nominacji na kapitana gwardii. No cóż, szkoda...

– Co mogę zrobić?

– Być przy Jakubie we właściwej chwili i rozprawić się z tym, co przyjdzie go zabić. Fach tępicieła nie jest ci przecież obcy.

– To prawda, ale jak mam walczyć ze szczątnikiem? Już próbowałem...

– Nauczysz się kilku zaklęć, niezbyt trudnych. Szczątniki to demony, które tylko częściowo egzystują w naszym świecie. Trzymają je tutaj szczątki tego, co kiedyś było ich ciałem. Dlatego dość łatwo jest zepchnąć je z powrotem do sfery Onego.

– Mam używać zaklęć?

– Zaklęć, kłamstw, prawdy, intryg, przebiegłości, wszystkiego, co pozwoli ci przetrwać na dworze. Na twoim

stanowisku nie ma miejsca na partactwo i popielnianie błędów! Założę się, że gdybyś dokładniej przesłuchiwał świadków, a nie zadowolił się szybkim pojmaniem tego czarownika, na pewno usłyszałbyś to i owo o jakimś tajemniczym współniku. W ten sposób wpadłbyś na trop dziennego widma i być może nie wpuściłbyś go tak łatwo do pałacu. Popelnileś mnóstwo błędów, mości kotołaku! Zlekceważyłeś przeciwnika.

– Redren chciał, aby koncert przygotować najszybciej, jak to możliwe...

– Żadne tłumaczenie nie zmieni tego, że zawiodłeś króla, mistrza Jakuba, a także Hantińję i mnie.

Rodmin był surowy i bezlitosny. Zachowywał się tak, jakby przyjaźń pomiędzy nimi należała już do przeszłości.

– Mianując mnie kapitanem, Redren powiedział, że jakby co, to powinienem spaść na cztery łapy...

– Radzę ci, zrób to jak najszybciej!

– ■ –

– Nie, kapitanie, dziękuję za troskę, lecz nie mogę przyjąć twojej opieki. – Mistrz Jakub wrócił do wertowania książki leżącej przed nim na stole.

Mieszkanie naczelnego kata Suminoru w niczym nie przypominało typowej siedziby miejskiego oprawcy, będącej zwykle skrzyżowaniem pracowni czarnoksiężnika z zapleczem apteki. Mistrz Jakub nie dorabiał sobie wyrobem magicznych ingrediencji ani udzielaniem porad medycznych ludziom z gminu. Nie mieszkał też w suterenie, lecz w słonecznym apartamencie na pierwszym pię-

trze południowego skrzydła królewskiego pałacu. Pokój, w którym się znajdowali, przywodził na myśl gabinet uczonego badacza ksiąg. Niewątpliwie studiowano tutaj istotę sprawiedliwości.

Zdenerwowany Ksin przestąpił z nogi na nogę.

– Mistrzu, z powodu mego niedopatrzenia grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. Zechciej, proszę, raz jeszcze rozważyć moją propozycję.

Jakub odsunął księgę i zamknął kałamarz. Wstał od stołu.

– Drogi kapitanie – rzekł. – Nie żywię do ciebie najmniejszej urazy ani też o nic cię nie obwiniam. To była wyłącznie moja wina.

– Nie rozumiem – stwierdził zdumiony Ksin.

Mistrz Jakub założył ręce na plecy i podszedł do okna.

– Według Prawa – zaczął – jedynym sprawcą cierpienia, bólu i strachu jest tylko i wyłącznie przestępca. Kat sprawia, że odwrócony zostaje bieg zdarzeń i ból wraz z lękiem wracają od ofiary do zbrodniarza, który pierwiej uczynił się ich źródłem. To słuszna i sprawiedliwa zależność, sędzia i zalecenia Prawa określają zaś jej miarę.

– Do czego zmierzasz, mistrzu? – spytał kotolak.

– Z zasady tej wynika i to, iż skazaniec winien być pozostawiony sam na sam ze swym cierpieniem, czyli że jego usta powinny być zatkane. Ja na życzenie naszego króla, który pragnął słyszeć krzyki przestępcy, sprzeciwiłem się duchowi Prawa i nie założyłem knebla. Było to również sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa, jakie należy przedsięwziąć podczas tracenia czarnoksiężników. Mogłem odmówić, lecz z pełną świadomością zgodziłem się na to

pierwsze i zlekceważyłem drugie. Ty, kapitanie, zarzucasz sobie tylko kilka drobnych, nieumyślnych błędów, moje przewiny są znacznie cięższe, zatem to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za wczorajsze zajście.

– Chcesz więc, mistrzu, biernie czekać na swój los?! – wybuchnął Ksin.

– Tego nie powiedziałem, kapitanie. Stwierdzam tylko, iż ten nieszczęsny przypadek z klątwą konającego czarownika to wyłącznie moja sprawa i sam stawię jej czoło.

– Ależ mistrzu, chyba nie zdajesz sobie sprawy...

– Oglądałem szczątki kilku szacownych przedstawicieli cechu katowskiego, którym zdarzyło się popełnić podobną nierozwagę – odparł spokojnie Jakub. – Na tej podstawie twierdzę, że znane mi są wszelkie aspekty niebezpieczeństwa, w jakim się znalazłem.

Kotołak milczał chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Mistrzu – postanowił spróbować ostatniego argumentu – wydaje mi się, że traktujesz tę sprawę nazbyt honorowo...

– Kapitanie – przerwał mu stanowczo kat – jestem szlachcicem, który po głębokich rozważaniach podjął się wykonywania rzemiosła niesłusznie uznawanego za nierycerskie. Innymi słowy, nadal obowiązują mnie zasady kodeksu honorowego, lecz to jeszcze nie wszystko. Pomyśl tylko, kapitanie, jak człowiek pozbawiający życia bezbronnych ludzi, zadający im niewyobrażalne cierpienia, może być godny tego, by samemu istnieć? Jak ktoś czyniący coś takiego może odnajdywać człowieczeństwo w samym sobie, we własnych oczach? Jest tylko jeden sposób. Człowiek ów musi kierować się zasadami stokroć

twardszymi od przyjętych wśród szlachetnie urodzonych. Najmniejsze uchybienie wobec Prawdy i Sprawiedliwości natychmiast uczyniłoby ze mnie żalosego rzeźnika. Dlatego dobrowolnie wyrzekłem się rodziny, dlatego żyję w samotności i dlatego zawsze prosto w oczy spoglądam upiorom wylęgającym się z ciał straconych przestępców. Życzę ci, mości kapitanie, byś również i ty nazwał słowami zasady, które niechybnie w sobie nosisz. Nie wątpię w to, gdyż bez nich byłbyś tylko bestią niezdolną do życia między ludźmi. Proszę, kapitanie, nie gniewaj się, iż wspominał, że nie jesteś człowiekiem. To tylko stwierdzenie faktu, a nie obelga, niech mnie Reh uchwala!

– Ależ skądże, nie czuję się obrażony... – wybąkał skołowany kotołak i opuścił mieszkanie kata.

– ■ –

Do pełni księżyca pozostało półtorej godziny. Ksin mიაł się po pracowni Rodmina niczym tygrys w klatce.

– Kompletnie mnie zagadał! – pieklił się, chodząc od stołu do szafy na ingrediencje i z powrotem.

– Sądząc po twojej minie, domyślam się, że argumenty mistrza Jakuba były logiczne.

– Na moc Onego! Znam setki sposobów popełnienia samobójstwa, a żaden z nich nie wymaga logicznego myślenia!

Rodmin zwinął pergamin, którego i tak nie był w stanie uważnie czytać.

– Boisz się o Jakuba czy o własną skórę? – zapytał spokojnie.

– Nie mogę znieść beczynności!

– Przyjacielu, zupełnie cię nie poznaję. Od waszej rozmowy minęły już cztery dni. To dość czasu, aby ochłoniąć.

– Wręcz przeciwnie! Z dnia na dzień ta sprawa niepokoi mnie coraz bardziej. Im dłużej o tym myślę...

– Może usiądź wreszcie! – nie wytrzymał Rodmin. – Skoro mistrz Jakub prosił cię, byś się w to nie mieszał, bądź łaskaw spełnić jego wolę.

– Ostatnim razem mówiłeś co innego!

– Nie wiedziałem, że kat potrafi radzić sobie z demonami.

– Rzeczywiście! – prychnął Ksin. – Mistrz Jakub bywa nocami w Wąwozie Niepogrzebanych, a na każdą taką wyprawę zabiera ze sobą topór o srebrnym ostrzu...

– Kazałeś go śledzić? – zdumiał się mag.

– Owszem. Dzięki temu wiem, że dziś wieczorem wybiera się tam po raz kolejny. Pójdę za nim!

– Po co? Przecież to już nie twoja sprawa.

– Sam mi radziłeś.

– Zmieniłem zdanie. Nie mieszaj się do tego.

– A Redren?

– Ksinie, o co ci właściwie chodzi?

– Muszę tam iść!

– Musisz?

Ciałem Ksina wstrząsnął nagły paroksyzm.

– To chyba Przemiana... – wydyszał ciężko. – Przed czasem... Muszę się pośpieszyć... – Ruszył w kierunku drzwi.

W spojrzeniu Rodmina nie było już irytacji, lecz czujność.

- Dlaczego właściwie przyszedłeś do mnie?
– Wydawało mi się... – kociołek złapał oddech – że powinienes wiedzieć.
– Przemiana nie ma prawa zacząć się przed pełnią – rzekł mag surowo. – Chyba że... Zostań chwilę, muszę coś sprawdzić...
– Nie mogę... – Drzwi już były otwarte. – Nie mam czasu! – dobiegło z korytarza.

Rodmin stał przez chwilę zdumiony i zdezorientowany.

– Nie, to niemożliwe... – wyszeptał w końcu i podszedł do szafy z magicznymi przyborami. Otworzył ją, wyjął i ustawił na stole nieduży srebrny kociołek z płaską pokrywką. Po namyśle wsypał do naczynia sześć uncji drobno zmielonych kości sprawiedliwie straconych zbrodniarzy. Wyszeptał zaklęcie uaktywniające i nałożył pokrywkę. Po chwili z kociołka dobiegł szmer podobny do dźwięku wydawanego przez piasek przesypujący się we wnętrzu klepsydry. Mag ostrożnie odkorkował flakon zawierający zęby morderców, którzy zdołali uniknąć kary i zmarli śmiercią naturalną. Kilkanaście pośliskłych kłów i siekaczy wysypał na wierzch srebrnej pokrywki kociołka. Reakcja magiczna była natychmiastowa: zęby odpychane przez srebro i zawartość naczynia poczęły wibrować i podskakiwać. W pracowni rozległ się gorączkowy klekot i brzęk.

Rodmin odszedł na moment i mrużąc oczy, wyciągnął z szuflady jeden z talizmanów zniszczonych podczas wypadku w katowni. Trzymając go za łańcuszek, zawiesił zmętniały, pęknięty kryształ nad drgającymi zębami. Wypowiedział drugie zaklęcie i zadał w myślach pytanie.

Zęby ułożyły się w runę.

Mag zbladł, powtórzył zaklęcie głośniejsze i zadał następane pytanie.

Zęby odpowiedziały, tworząc symbol tańca śmierci.

Rodmin odskoczył gwałtownie od stołu. Desperackim ruchem wykonał gest przecinający zadzierzgnięty czar. W tej samej chwili poczuł zapach palonego drewna. Wiśszy nad drzwiami do komnaty główny amulet chroniący pracownię aż świecił, rozpalony do czerwoności.

Drewno nadproża dymiło i syczało. Jeszcze chwila, a...

Królewski mag otarł zimny pot, który obficie zrosił mu czoło.

– Straż! – krzyknął ile tchu w piersiach. – Do mnie! Natychmiast!

Z izby tortur dobiegały odgłosy siorbania i mlaskania. Pomocnicy mistrza Jakuba jedli właśnie kolację. Mag Rodmin stanął przed wejściem i nie przestępując progu, przez chwilę nasłuchiwał. Twarz miał ściągniętą, skupioną.

– Hej, wy tam! – zawołał głośno.

Odpowiedziało mu donośne beknięcie.

– Czego? – zapytał jakiś podpity bas.

– Chodźcie no tutaj! – rozkazał Rodmin.

W drzwiach pojawił się jeden z oprawców w przepoczonej koszuli.

– O! – stęknął. – Magik Rodmin... Jaki zaszczyt...

– Więcej szacunku, chamie, bo skończysz w chórze eunuchów!

– Co wasza magiczność rozkaże! – Katowski pacholek wyprostował się szybko, odruchowo zasłaniając dłonią

krocze. Z tyłu pojawiły się dwie następne zaczerwienione, opasłe gęby.

Mag cofnął się o dwa kroki.

– Wyjdźcie wszyscy – polecił.

Czterech ospałych osiłków pośpiesznie wyszło na korytarz.

– Za chwilę przyprowadzą tu skazańca, który z rozkazu króla ma być natychmiast wzięty na męki – oznajmił Rodmin.

– Ale mistrza nie ma – zaoponował najstarszy, łysy oprawca.

– Co, nie poradzicie sobie? Tylko dzieci niańczyć umiecie?

Pomocnicy popatrzyli po sobie.

– Poradzim, nie poradzim – odparł najstarszy – ale jak się nasz mistrz dowie... On ma na rozumie pokręcone, a my są ubogie królewskie poddane...

– Po sztuce złota na łeb! – uciął dyskusję Rodmin.

– Wasza miłościwość, dajcie no nam tego huncwota! Zaraz mu, pies po nim jeździł, sprawiedliwość zrobimy!

– Dobrze! – warknął Rodmin. – Stańcie tam pod ścianą. – Pokazał. – Zaraz go przyprowadzą.

Z góry po schodach wbiegło sześciu gwardzistów z kuszami gotowymi do strzału. Stanęli naprzeciw oprawców. Na schodach prowadzących na górę rozległ się tupot i kilka przekleństw.

– I czego, głupku, we mnie mierzysz?! – wrzasnął najstarszy pomocnik do jednego z żołnierzy. – Odwróć tę kuszę!

– Teraz – powiedział mag z wielkim spokojem.

Warknęły zwalniane cięciwy. Tępe uderzenia beltów, przeciągły trzask rozdzieranego mięsa. Wycie mordowanych oprawców przeszło momentalnie w nieludzki ryk. Ciała katowskich pomocników wręcz eksplodowały, uwalniając ukryte w nich bestie. Pod ścianą korytarza rozszalało się kłębowisko klów, szponów i powykręcanych kończyn. Demoniczny wrzask zmroził szpik w kościach żołnierzy.

Wystrzelone belty miały srebrne groty.

Jeden z potworów, nietrafiony w serce, wymachując łapami, rzucił się na żołnierzy, ale właśnie na tę okoliczność Rodmin zabrał ze sobą dodatkowych strzelców. Nowi wbiegający do lochu kusznicy kolejno szyli w wijące się pod ścianą upiory.

Kiedy się uspokoiło i ucichły odgłosy nadnaturalnej agonii, Rodmin podszedł do stojącego u podnóża schodów, bladego jak chusta zastępcy Ksina.

– Czy teraz już możesz sobie wyobrazić, mości setniku, do czego doszłoby w pałacu po wschodzie księżycy w pełni? – zapytał mag.

Dowódca gwardzistów tylko przełknął ślinę. Żołnierze stojący nad martwymi potworami, powczepianymi w siebie zębami i pazurami, wymieniali szeptem krótkie uwagi.

– Dlaczego oni nie stają się znów ludźmi? – zapytał oficer, patrząc na nieruchome ciała. – Przecież już nie żyją.

– Leżą zbyt blisko źródła uroku. – Rodmin wskazał na ciemne wejście do izby tortur. – Niech nikt nie wchodzi tam pod żadnym pozorem! Trzeba wezwać kapłanów, by odprawili egzorcyzmy. Ja tu już swoje zrobiłem.

– A co z naszym kapitanem i mistrzem Jakubem? – odezwał się setnik.

Mag nie odpowiedział. Wyszedł w pośpiechu.

– ■ –

Wąwóz Niepogrzebanych zawsze cuchnął padliną. Prawo odbierało straconym przestępcom przywilej posiadania grobu, w zamian przeznaczając im kubel gaszonego wapna. Jednak w przeciwieństwie do królewskich sędziów miejscowi grabarze nie uważali, by martwym zbrodniarzom cokolwiek się należało. Wapno znikало od pokoleń, sprzedawane dyskretnie po przystępnej cenie wszystkim potrzebującym w Katimie i okolicy. Ograniczający się do jednorazowego ochlapania zwłok grabarze – skądinąd słusznie – zakładali, że im mniej wapna zmarnuje się w Wąwozie, tym mniejsza szansa, iż jakiś wyperfumowany urzędnik zdoła tam wejść i wykryć kradzież.

Z pewnością zaś nikt nie wszedłby do Wąwozu Niepogrzebanych nocą, podczas pełni księżyca. Obecność żywego człowieka w tym miejscu i czasie mogła, mimo starań kapłanów zabezpieczających zwłoki przed Przemianą, doprowadzić do nieobliczalnych oddziaływań pomiędzy skażonym nienawiścią ciałem a mocą Onego. Jedynym wyjątkiem był mistrz Jakub, który zgodnie ze swymi przekonaniami regularnie przybywał do Wąwozu, by dobić to, co usiłowało się tam wylęgnać. Większość katów, żyjących w ciągłym strachu przed swymi klientami i zabezpieczających się przed nimi na wszelkie sposoby, uważała takie postępowanie za objaw obłąkania. Ich zdaniem brat cechowy Jakub już od dawna nie powinien żyć.

Królewski kat stąpał powoli, jego buty chrzęściły na grubej, wielowiekowej warstwie kredy i zetlałych kości. W Wąwozie Niepogrzebanych nic nie rosło, wyjąwszy zniekształcone onokrzewy i świecące grzyby. Blask tych ostatnich tłumilo jednak światło księżyca. Szarometaliczne cienie otaczały bryły cuchnącej czerni. Obszary smrodu tworzyły niewidzialne ściany i kolumny. Mistrz Jakub nie zważał na to. Srebrny topór w jego dłoni wydawał się świecić w blasku księżyca, ale nie oświetlał niczego.

Za trzecim zakrętem Wąwozu wznosiła się sztuczna skała, powstała ze sterty kości i czaszek spojonych skamieniałą zaprawą. Był to znak orientacyjny. Nieliczne szczątki straconego czarnoksiężnika, których nie porwał ze sobą magiczny wir, złożono kilkanaście kroków od tego miejsca. Mistrz Jakub oparł się plecami o ponury monolit i czekał.

— ■ —

Uczucie rozpoczynającej się Przemiany znikło, kiedy Ksin opuścił królewski pałac. Przed wejściem do Wąwozu Niepogrzebanych kotołak zastał tylko konia mistrza Jakuba. W nocie takie jak ta grabarze siedzieli w domach i modlili się, by srebrzone sztaby zabezpieczające drzwi i okiennice nie okazały się za słabe.

Ksin uwiązał swojego wierzchowca razem ze zwierzęciem Jakuba, po czym zrzucił ubranie i oddalił się, aby nie spłoszyć koni.

Fala żaru i księżycowej poświaty ogarnęła go zaraz po wejściu do Wąwozu. Krew zamieniła się we wrzątek, a umysł wypełniła mieszanina bólu i osobliwej słodyczy...

Kości zatrzeszczały. Jakub odwrócił się, szybko unosząc topór. Oczy kata napotkały palające zielone ślepia kotołaka. Pólludzka bestia, podpierając się przednimi łapami, postąpiła dwa kroki, wychodząc z cienia.

– Kapitan Ksin? – spytał Jakub ściszym głosem.

Kotołak nie zareagował. Kiedy po chwili znów zaczął iść, w jego ruchach dało się dostrzec narastającą sztywność. Spojrzenie przemienionego Ksina zsunęło się z postaci mistrza Jakuba i skierowało gdzieś w bok.

Nad resztkami ciała straconego czarnoksiężnika zawisł szczątnik.

Coś w rodzaju bezkształtnej srebrzystej pajęczyny łączyło fragmenty zwłok, które uległy Przemianie. Bezoka głowa chwiała się, jakby za chwilę miała upaść na ziemię. Wydawało się, że jeden silniejszy powiew wiatru wystarczy, by rozerwać tę istotę na kawałki, ale było to mylne wrażenie. Szczątniki mogły, gdy zechciały, kruszyć kamienie i wrywać drzewa.

– Nędzna istoto, buntująca się przeciw majestatowi sprawiedliwości – przemówił mistrz Jakub, ignorując Ksina. – Niech srebro i siła zaklęć na zawsze poskromią twą złość. – Wzniósł rękę, by wykonać magiczny gest, i w następnej chwili runął na ziemię, uderzony kosmatym łbem.

Oczy kotołaka płonęły teraz upiornym fioletowym światłem...

Ksina ogarnęło przemożne pragnienie rozerwania kata na strzępy. Od lat nie odczuwał czegoś takiego! Przebudzone demoniczne instynkty znów brały w posiadanie jego wolę. Miał pełną świadomość wydarzeń, walczył z pokusą, ale stopniowo tracił władzę nad swoim ciałem.

– Kapitanie Ksin! – Bardziej zdumiony niż wystraszony mistrz Jakub uderzył kotołaka płazem topora.

Dotyk srebra zapiekł żywym ogniem. Już od dawna ten metal nie sprawił Ksinowi bólu. Zupełnie nie wiedział, nie pojmował, co się z nim dzieje...

– Kapitanie, to urok! Zwalcz go! – krzyknął Jakub. – Potrafisz to! Kiedyś już to zrobiłeś!

Te słowa zapewne przeważąby szalę na korzyść woli, gdyby nie szcztanik, który bezszelestnie spłynął na kotołaka, oplatając go swą niematerialną siecią. Kawalki trupa mocno przyłgnęły do Ksina.

– *Do mnie!* – zaszemrało w jego umyśle. – *Tańcz!*

Wąwozem Niepogrzebanych wstrząsnął ryk, a potem zawroźnienie zdziczałego kotołaka. Zakrzywione pazury uderzyły w stylisko topora, wyrwijąc broń z ręki kata.

Mistrz Jakub rzucił się do ucieczki. Nie miałby najmniejszych szans, gdyby goniącej go bestii nie płały się nogi. To jednak odwlekło moment rozerwania ofiary najwyżej o kilkanaście uderzeń serca...

Uciekający nie zmarnował tego czasu. Biegając, sięgnął za pazuchę, wy dobył niewielką piszczałkę i zagwizdał przenikliwie. Odpowiedziały mu równoczesny skowyt i chichot dobiegające z głębi Wąwozu. Nowy potwór wyłonił się z mroku i popędził śladem gnającego konwulsyjnymi zrywami, zataczającego się kotołaka. Demon idący na pomoc Jakubowi wyglądał najpierw jak kłęb ciemności przetykanej pasmami półcienia. Po chwili okazał się dwugłowym wilkołakiem.

– Wybacz, kapitanie, ale nie dałeś mi wyboru... – wydyśzał Jakub.

– Odwołaj go! – krzyknął Rodmin, rzucając czymś w kierunku Ksina.

Zaskoczony kat wpadł na maga. Ogromny słup czerwonego ognia wytrysnął tuż przed kotołakiem, który siłą bezwładu przewalił się przez jego środek.

– Odwołaj go! – powtórzył Rodmin, padając i pociągając kata na siebie. – Natychmiass... – Uderzenie o ziemię odebrało mu dech.

Magiczne płomienie strawiły szczątki. Demon rozpadł się na kilkanaście płonących fragmentów, które rozsypały się wachlarzem po dnie Wąwozu. Kotołak przekoziółkował przez łeb, wzbijając chmurę wapiennego pyłu, i legł nieruchomo.

Dwugłowy wilkołak, ryjąc pazurami w chrzęszczącym podłożu, desperacko wyhamował tuż przed dogasającym szkarłatnym kręgiem.

Obie paszcze rozwarły się na całą szerokość, jakby nabierając tchu...

Mistrz Jakub, usiłując złagodzić upadek, trafił łokciem w jakąś kość i całe prawe ramię sparaliżował mu obłąkańczy ból. Mimo to zdołał lewą ręką unieść pizczalkę do ust i dał umówiony sygnał.

Dwie pary rozjarzonych żółtych ślepi przygasły wyraźnie. Wilkołak płynnie zawrócił i potruchtał w ciemność. Po chwili zniknął z oczu.

Rodmin już się podniósł i teraz wyciągnął rękę, pomagając wstać katu. Mistrz Jakub spojrział mu w oczy.

– To mój brat – powiedział niepytany. – Tylko tak...

– Zajmijmy się lepiej Ksinem – przerwał mu mag.

Kotołak był półprzytomny, jakby pijany, ale szybko dochodził do siebie.

Wszyscy trzech doczekali świtu przy małym ognisku, kilkaset kroków od wylotu Wąwozu Niepogrzebanych.

– Gdyby urok nie zmaćcił mi umysłu, pomyślałbym o tym, że srebrny topór to za mało, aby stawić czoło demonowi – mruknął Ksin. – Że trzeba czegoś, a właściwie kogoś jeszcze...

– Ukrywam go tutaj od lat – odparł Jakub. – Grabarze udają, że go nie widzą, a ja udaję, że nie widzę, jak oni kradną wapno. To dobry układ.

– Ale czy zgodny z Prawem? – spytał z przekąsem Rodmin.

Kat się uśmiechnął.

– Wbrew temu, co o mnie mówią, nie jestem ślepym wyznawcą Prawa – rzekł. – Jestem tylko człowiekiem...

– A jak to się stało? – odezwał się Ksin. – Czy to kłótnia?

– Nie. – Jakub pokręcił głową. – Dekart urodził się z dwiema głowami i nasz ojciec uznał, że Przemiana to jedyny sposób, by uchronić go od śmierci.

– Czemu właśnie w wilkołaka? – rzucił Rodmin.

– Sądziliśmy, że to najwaleczniejszy z demonów, ale wyniku dzisiejszego pojedynku, gdyby do niego doszło, nie byłbym pewien. Słyszałem, kapitanie, że zabijałeś już wilkołaki...

Ksin skinął głową.

– A wszystko to za sprawą dziennego widma – stwierdził mag, popadając w zadumę. – Doprawdy, nie doceniłem tego stwora... Obym nigdy więcej nie popełnił po-

dobnego błędu. I pomyśleć, że uważałem się za największego z żyjących adeptów magii! Wybacz, Ksinie, nie miałem prawa wytykać ci niedbałości. Sam zachowałem się równie nierozważnie.

– Nie mówmy już o tym – stwierdził kotołak. – Wygląda na to, że wszyscy trzej jesteście sobie warci.

– Więcej szczęścia niż rozumu – skwitował Jakub.

– Ale tego właśnie wymaga od nas król! – Ksin się rozeźmiał. – Jednak – dodał, poważniejąc – jak to możliwe, mistrzu, że urok dziennego widma ciebie się nie imał? Wszak nie wytrzymały nawet najsilniejsze talizmany!

– Przecież to całkiem proste... – Rodmin ziewnął. – W nim nie ma nienawiści.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
Antalis Polska*

Redakcja *Sylvia Sandowska-Dobija*
Korekta *Roma Sachnowska, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12540-8

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław